



Jacek Karpiński

część II z VI

Sygnatura notacji: **N0203**

Data urodzenia: **09.04.1927 r.**

Data nagrania: **11, 14.09.2008 r.**

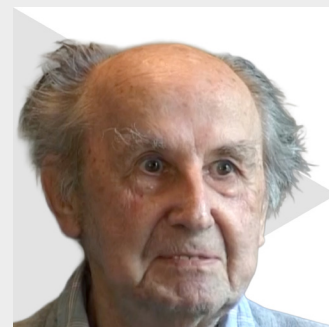
Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 59 min,
część VI: 59 min, część IV: 37 min, część V: 52 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Karpiński: Na dachu jesteśmy, ale to było oblężenie Warszawy, oblężenie Warszawy trwało, jak wiadomo, dosyć długo i Niemcy podchodzili już bardzo blisko pod Warszawę właśnie od Mokotowa. I mama się zdecydowała zabrać nasz do Śródmieścia, na ulicę Chopina. Tam znajomi w dużym bloku mieli mieszkanie i przenieśliśmy się na ulicę Szopena. Tam po drugiej stronie była... Nie pamiętam co tam było. jakaś... to się nazywało Dolina... – Szwajcarska. – Dolina Szwajcarska. To było po drugiej stronie ulicy. No i te wszystkie zapasy zostały. Trochę tam mama wzięła. Ja miałem wtedy dwanaście lat. I mama mnie zapisała na łącznika OPL, obrona przeciwlotnicza. Dostałem taką legitymację, opaskę z takim ryngrafem i moim obowiązkiem było chodzenie po dzielnicy i pilnowanie, żeby było zaciemnienie. I tam łaziłem, i jak było prześwitywanie, to stukałem, pukałem i mówiłem, żeby zaciemnili. No i tak chodziłem, a w dzień czasami nosiłem jakieś meldunki. I kiedyś zaszedłem na plac Unii Lubelskiej, a wtedy u wylotu ulicy Puławskiej po obu stronach były takie... nie wiem, jak to nazwać, takie budynki z takimi filarami. Po obu stronach były. Ja byłem akurat na samym placu, jak był alarm lotniczy, ale natychmiast przyleciały sztukasy, niemieckie samoloty, takie nurkujące, bombowe, i zrzucali bomby. Ja słyszałem tylko świsty tej bomby i wbiegłem do tego budynekcu, tam pod te filary, i proszę sobie wyobrazić, że bomba trafiła w ten drugi budynek, po drugiej stronie ulicy, zmiotła go kompletnie, gruzu tylko zostały, ale to była właśnie ręka opatrności, bo ja mogłem wbiec albo do tego, albo do tego, byłem po środku. No to wybrałem ten, który ocalał. To było duże przeżycie. Jak ten kurz już opadł, sztukasy odleciały, ja wychodzę, drugiego budynku już nie ma. Po drugiej stronie ulicy. To było fatalne. No i potem naloty były coraz cięższe, jedzenia coraz mniej, wody nie było, Trzeba było nosić wiaderkiem, tam jakaś studnia była chyba w tej Dolinie Szwajcarskiej. To stamtąd mama nosiła albo ja. I potem nie tylko, że naloty były, ale Niemcy przywieźli działo kolejowe. To się nazywało „krowa”, ponieważ to tak robi: „uuu”. Olbrzymie pociski leciały. Po kilkaset kilogramów.

Ale i bomby też. I jak dzisiaj pamiętam, był poniedziałek, 25 września. Od samego rana były naloty i ta „krowa”, i jedna bomba trafiła w dom, w którym byliśmy. Tylko, że ten dom miał trzy klatki schodowe i bomba trafiła w to drugie skrzydło, które się zawaliło od pięter... nie pamiętam, ile tam było pięter, pięć czy cztery, od góry aż do piwnicy się zawaliło wszystko, i mieszkania, i klatka schodowa, wszystko, wszystko, tuż obok nas. A nasza część została. Były zarysowania, podmuch był potworny, pełno kurzu, wapna. Już myśleliśmy, że się w ogóle cały dom zawalił. Nasza część została. To było naprawdę bardzo nieprzyjemne przeżycie. No ale tak żeśmy dotrwali do końca oblężenia. Powiedział pan, że opatrność pana ocaliła wtedy pod tymi filarami. Tak. Nasuwa się pytanie, czy była obecna w rodzinie religia. Nie. Nie. To znaczy... Bardzo dziwna religia. Bo nie religia jako religia, tylko wiara w Boga. Bo moja mama była zapisana jako wyznanie ewangelicko reformowane. Mój ojciec jako katolik. Ja byłem... Ponieważ ani mama, ani mój ojciec nie byli ortodoksyjni w swojej religii, to... Jak by to powiedzieć? Nie agitowali za ani jedną, ani drugą religią. Tym bardziej, że obie religie były chrześcijańskie i wiara w Boga... I ojciec nauczył mnie „Ojcze nasz”. „Ojcze nasz, który jest coś w niebie”. I to, żeby było śmiesznie, po polsku, po łacinie i po angielsku. Żadnych... Pamiętam, że nad łóżkiem miałem taką ładną lampkę oliwną, lampkę oliwną, która się zawsze paliła, i tam był obraz Chrystusa. I ojciec właśnie podkreślał wiarę w Boga. W Boga jako... Ale nie tego, którego malują, nie tego, którego pokazują, nie takiego, o którym się mówi, tylko jako Boga, którego my nie znamy, który stworzył świat. I wszechświat. Ale co do religii, takiej czy owakiej, to ani mama, ani mój ojciec nie przywiązywali właściwie wagi w ogóle. Dlatego, że widzieli pustkę tych religii właściwie. Jakieś takie obrazowanie i gdybanie naiwne na tematy, o których tak naprawdę pojęcia nie mamy jako ludzie. Jedni przedstawiają tak, drudzy przedstawiają tak. Aha, i jeszcze mój ojciec sporo mówił o innych religiach. Powiedział, że jest jeszcze islam, jeszcze jest buddyzm. No buddyzm nie jest religią, ale pewną filozofią. I mówił, że ludzie sobie tak przedstawiają Boga, to tak, to tak, to tak, a tak naprawdę to my nie wiemy nic o Bogu, prawda? Tylko wiemy, że my jesteśmy, a skoro jesteśmy i ten świat istnieje, to siła, która... bo nie osoba, tylko siła, która to stworzyła, nazwijmy Bogiem... I muszę powiedzieć, że ja mam w tej chwili taki sam pogląd na to, że wszystkie te dla mnie cyrkowe albo teatralne szaty tych wszystkich księży, a biskupów, puszą się, pod tym względem religia ewangeliczna jest nadal się bliższa nie to, że prawdy, bo to nie chodzi o prawdę, tylko bliższa sensowności. Bo tam ksiądz normalną ma rodzinę... Bo w religii katolickiej to, że księża mają ten celibat, to jest chore po prostu. Bo oni mają być przewodnicy duchowi, jak oni nie znają życia w ogóle. Bo życie to jest w rodzinie. Ale tak to już jest. To głupota cholerna. No to wracamy do wojny. Wrócimy do końca oblężenia. Tak, koniec oblężenia był. Wróciliśmy do naszego mieszkania, do naszej willi na Mokotowie, rozgrabione już było prawie zupełnie, bo już ludność okoliczna była troszkę szybsza niż my, już było bardzo... Ale jeszcze pozostała bardzo duża biblioteka. Bo książek nie zabierali, meble zostały jeszcze, tylko te zapasy pozabierali, no i zaczęło się od wstawiania szyb, moim obowiązkiem było wstawianie szyb. Bo mama od samego początku pracowała jako lekarz. Żeby utrzymać nas, w końcu trójkę dzieci. Moja siostra miała wtedy osiemnaście lat, ja dwanaście a Marek dziewięć. Utrzymać cztery osoby, to trzeba było sztuki wtedy, żeby wyżywić to bractwo. I moja siostra próbowała coś tam dorobić gdzieś tam. Ja wstawiałem szyby, nauczyłem się szklarstwa, kupowałem całe szyby, a mama kupiła mi taki diament do cięcia, kit, ja wstawiałem te szyby. Później nawet sąsiadom wstawiałem. Jak już wstawiłem te szyby, chciałem też mamie pomóc jakoś zarobić parę złotych. Wykombinowałem, że ja będę robił mydło. Bo wtedy nic nie było. To mydło trzeba było robić. Znalazłem taką książkę, sto przepisów na różne takie rzeczy, które można robić w domu, między innymi mydło. Zrobiłem mydło, tylko że to mydło było takie rzadkie. Próbowałem to sprzedać, ale nikt nie chciał tego kupić, sklepikarka nie chciała kupić, bo to się kleiło. No to ja wpadłem na pomysł, żeby kwas chlebowy. bo moja babcia robiła kwas chlebowy,

pyszny. Ja zapytałem pani sklepowej, która była na rogu ulicy Dzikowskiego i Puławskiej, czy by kupiła kwas chlebowy. A ona powiedziała: „Dobry kwas chlebowy to tak”. Więc ja pozbierałem skórki od chleba, bo to razowy chleb był potrzebny, przypiekłem to elegancko, drożdży kupiłem, butelki skądś wykombinowałem, już nie pamiętam, skąd, nawarzyłem tylko kwasu, rozlałem po tych butelkach i sprzedałem to. Pani sklepowa skosztowała, mówi: „A, bardzo dobry. To zrób jeszcze dwadzieścia butelek”. Mówię, dobrze. To ja zrobiłem te dwadzieścia butelek, zawiozłem i mówi: „Jak sprzedamy, to ci dam pieniądze”. Przychodzę na drugi dzień, a ona mówi: „Aleś mnie urządził. Zobacz, ruina w sklepie”. Bo ja za mocno zakorkowałem, za dużo było drożdży i butelka wybuchła, a od tej butelki jedna od drugiej dwadzieścia butelek wybuchło. I porozwalało to wszystko, i zalało wszystko, co miała na półce. I mówi: „Mam tylko straty, nic ci nie dam pieniędzy. No i tak wyszedłem na tym. Nie udawał się handel. Nie udawał się handel. Mama mnie zapisała do gimnazjum, ale wtedy nie było normalnego gimnazjum. Była szkoła ogrodnicza. To ja troszkę chodziłem do tej szkoły ogrodniczej, ale były ciekawe zajęcia, podlewanie i nawożenie, o jakichś tam roślinkach, o tym, o motylkach. I tak zeszło do 1941 roku. Ale był taki przyjaciel rodziny, pan profesor Olekiewicz. Niestychanie mądry człowiek, filozof, matematyk, profesor matematyki. Niestychanie mądry człowiek. Świetnie znał angielski, bo był parę lat w Meksyku, ale był parę lat w Stanach Zjednoczonych, przed wojną. I on prywatnie przychodził do nas do domu i uczył mnie angielskiego, matematyki, fizyki, chemii. I to mi dało znacznie więcej niż chodzenie do tej szkoły. A znowu przyjaciółka mojej mamy uczyła mnie polskiego. Ale wypracowania, które ona mi zadawała, to ja nie bardzo tam... Natomiast była u nas wspaniała biblioteka. Nie wiem, z tysiąc książek chyba było, wspaniałych, z całego świata. Klasyka literatury. Genialna rzecz. I ja pochłaniałem te książki. Ja wtedy, pomiędzy trzynastym a szesnastym rokiem życia, przeczytałem właściwie wszystko, co trzeba przeczytać w życiu. Z klasyki. Całą „Komedie ludzką”, Frischa, Balzaca całego. Boya-Żeleńskiego wszystkie jego tłumaczenia. Wspaniałe zresztą. I sporo poezji. Również poezję murzyńską. Do tej pory mi utknęło. Wspaniałe takie powiedzonka z poezji murzyńskiej. Na przykład: „Kobieta za domem siedzi, mówią wszyscy sąsiedzi”. Albo: „Słonia nie zabija dziecko i pijak”. Albo: „Struś składa jajo, gdy mężczyźni się zbliżają”. Takie autentyczne poezje murzyńskie. Tak że ja mnóstwo czytałem. Ale w 1941 roku... Zresztą przez kolegów w szkole poznałem jakiegoś kolegę, który był w AK, w Plutonie Lotniczym. I przez jakieś dwa miesiące jeździłem... to było na Pradze, jeździłem tam na zbiórki, gdzie uczyliśmy się pilotażu samolotów, ale to było takie nauczanie, jak nauka kawalerii na krzeselku. W każdym razie... Bo trzeba przyznać, że ja byłem wtedy bardzo wyrośniętym chłopakiem i wyglądałem na znacznie starszego niż jestem. Rozgarnięty, co mi dały te książki niewątpliwie, rozmowa z mamą, rozmowa z tym profesorem Olekiewiczem, to mi bardzo dużo dało. Tak że ja zachowywałem się i mówiłem tak, jakbym był już po maturze właściwie. A ja miałem wtedy piętnaście lat. Czternaście. Ale w szkole u Giżyckiego, to znaczy dawne Gimnazjum Giżyckiego, spotkałem kolegę, który zaproponował: „Jacek, co ty będziesz jeździł tam gdzieś na jakieś lotnicze... Tutaj my mamy własną organizację”. I to były Szare Szeregi. Ja już od tej pory byłem w Szarych Szeregach i robiliśmy bardzo wiele akcji takich sabotażowo ośmieszających Niemców. Zdzieranie flag niemieckich z budynków, kwiaty na pomnikach wielkich Polaków, jak Kopernika na przykład, Zdobienie pomnika Kopernika czy Mickiewicza polskimi flagami, zamalowywanie napisów niemieckich. Bo Niemcy uważali, że Kopernik to Niemiec w ogóle. Ulubione zajęcie to było tłuczenie szyb w sklepach niemieckich. Bo były sklepy tylko dla Niemców. Meinl. Sklepy Meinla. Z olbrzymimi takimi witrynami, olbrzymie szyby były. Takie po dwa, trzy metry. To była wspaniała rzecz, tłuc te szyby. Myśmy się wybierali wieczorem tak w czterech-pięciu chłopaków, każdy wziął dwa brukowce, te duże kamienie, zawinięte w gazetę, no i z nimi żeśmy się zbierali pod takim tym, i na „hop” wszyscy „tubudu” w te szyby. A jak dzisiaj pamiętam, kiedyś tam przy ulicy Chmielnej, przy ulicy Chmielnej,

Chmielna-Krucza, był taki bardzo duży sklep Meinla, ale przed tym sklepem był postój riks. Bo wtedy były riksze. Takie rowerowe. Taki fotel dwuosobowy z przodu, a z tyłu rower. No i człowiek pedałowal, i wozil tam... Bo taksówek nie było przecież. I był postój, myśmy przyszli pod ten sklep z tymi bambolcami i mówimy do tych riksarzy: „Panowie, lepiej stąd spływać”. A oni: „Tak, tak, dziękujemy”. I szybko odjechali. No to my wtedy „łubudu”. Chodziło o to, żeby oni nie mieli przykrości. Bo po takim tym zwykle zjawiał się jakiś patroli i strzelał. Ale myśmy byli szybcy w nogach i jakoś nigdy im się nie udało trafić w nas. Tylko rozbiegaliśmy się to tu, to tu, to tu, to tam. Szybko wskakiwaliśmy do tramwaju gdzieś tam i jechaliśmy. Tak że w tych Szarych Szeregach byłem, aż nasz pluton Szarych Szeregów, gdzie wodzem naszym był „Kończan”, pseudonim „Kończan”, Eugeniusz Kecher. Wspaniały chłopak. To znaczy on był starszy od nas. Niski, krępy, ale już w Szarych Szeregach uczył nas posługiwania się bronią, składanie, czyszczenie pistoletu, karabinu, zasady walki w pomieszczeniu w nocy. No i w 1940... Chyba to było w 1942 roku, pod koniec, Nasz oddział został przemianowany na grupy szturmowe przy Komendzie Głównej Armii Krajowej. Ponieważ ja wykazałem się dużą bojowością, zostałem w drużynie sekcijnym, to znaczy byłem dowódcą sekcji. Sześciu kolegów i ja byłem jego dowódcą. A drugą sekcją w tej samej drużynie dowodził Krzysztof Baczyński. Tak zwany „Kamil”. Ale myśmy nigdy nie nazywali go „Kamilem”, tylko zawsze Krzysio. On nie lubił imienia „Kamil”. No i mieliśmy razem zbiórki, wykłady. Na samym początku działalności grup szturmowych złożyliśmy przysięgę. Przysięgę odbierał „Rudy”.

Anna T. Pietraszek: A jaki pseudonim pan miał?

Jacek Karpiński: „Jacek”. Po prostu „Jacek”. Dowódcą drużyny był Bogdan Leczkowski, pseudonim „Laudański”. Członkami drużyny innej sekcji był Andrzej Błędowski...

Anna T. Pietraszek: Jak on miał pseudonim?

Jacek Karpiński: „Bury”. Tytus Karlikowski, pseudonim „Wąż”. Obecny przewodniczący koła „Zośka” przy organizacji byłych żołnierzy AK. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Ale nasze środowisko jest środowisko „Zośka”. I to było tak, że był Tytus Karlikowski, pseudonim „Wąż”, i był Witold Sikorski...

Anna T. Pietraszek: Jaki on miał pseudonim?

Jacek Karpiński: Przypomnę sobie później. No i mieliśmy te zbiórki razem. A ponieważ ja mieszkalem z moją mamą, z bratem i z siostrą w willi na ulicy Obserwatorów 22, na tym Mokotowie, osobna willa, to urządziliśmy, za zgodą mojej mamy oczywiście... Ale tu jeszcze muszę zrobić wtręt pewien. Moja mama również była bardzo bojowa. I ona była w POW podczas I wojny światowej i była łączniczką marszałka Józefa Piłsudskiego. Była chyba przez dwa lata, zanim jej nie złapali Niemcy na przekroczeniu granicy z Niemcami. I była zaprzyjaźniona z całą rodziną Piłsudskich. Później nawet jeździliśmy do Belwederu na urodziny marszałka. My byliśmy proszeni, moja mama i ja z Markiem, byliśmy proszeni na podwieczorek do marszałka. Przyjmowała nas pani Róża. Nie... Róża chyba. Mówił pan o tym, jak mama się zgodziła, żeby w willi, tam, gdzie mieszkaliście, były spotkania... Właśnie, bo mama sama działała na froncie, że tak powiem. Była w tych organizacjach. I to, że ja byłem później w tych grupach szturmowych i brałem udział w różnych akcjach, zarówno rozpoznawczych, jak i w przenoszeniu broni, jak i akcjach zbrojnych później już

ze strzelaniem, to mama wiedziała o tym. i zawsze ze różami w oczach, ale z uśmiechem, żegnała mnie przed taką akcją i mówi: „Tylko wracaj”. I pozwoliła nam zorganizować strzelnicę w piwnicy. Workami z piaskiem zabindowaliśmy okna do piwnicy, urządziliśmy strzelnicę, narysowaliśmy taki rysunek, takiego Niemca z bronią i strzelaliśmy z pistoletu, nawet z pistoletu maszynowego, uczyliśmy się celowania, aż w końcu jakaś sąsiadka powiedziała: „Proszę pani, czy to nie jest niebezpiecznie? Słyszę jakieś takie odgłosy dziwne”. No ale cała drużyna przychodziła postrzelać. I Krzysztof Baczyński, cała drużyna. A oprócz tego miałem skład broni i amunicji w domu. Miałem kilka karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych, zarówno niemieckich, jak i polskich, jak i stenów, wiele granatów różnych. Była skrytka zrobiona przez specjalistę. Wejście, kawałek parkietu się odejmowało i tam była wydrążona taka dziupla 2 na 2 metry, i tam był ten skład. Brałem udział, cały szereg różnych akcji miałem, ale najbardziej takie naprawdę niebezpieczne to były akcje rozpoznawcze. Bo jak się szło na akcję z pistoletem czy z karabinem, czy z pistoletem maszynowym przy boku, to było fajnie. To była akcja po prostu i człowiek był w takiej euforii, że nareszcie się walczy, nareszcie czuje się człowiek wolnym. To było cudowne uczucie zupełnie. Naokoło Niemcy, a ja się czuję wolnym, bo ja mam broń. To akcje rozpoznawcze były paskudne, bo nie wolno było mieć broni. Ani żadnych dokumentów oczywiście, ani nic. I przed wysadzaniem pociągów, czy to pod Urlami, czy pod Celestynowem, bo tam żeśmy wysadzali te pociągi z transportami niemieckimi, trzeba było zawsze zrobić rozpoznanie. Rozpoznanie w nocy, trzeba było notować, kiedy jakie patrole niemieckie chodzą, gdzie, o której godzinie, jaką trasą, jakie pociągi jeżdżą i tak dalej. Trzeba było notować na kartce, trzeba było siedzieć przy torach, niedaleko torów, w jakichś krzakach, bez broni. I jak dzisiaj pamiętam, jedno z najgorszych przeżyć w moim życiu to było, jak siedzę w tych krzakach, ciemno jest, ale tak już robi się szarawo, idzie patrol niemiecki z psem. Ja zanotowałem godzinę i oni przechodzą, ścieżka była wzdłuż torów, a ja siedziałem jakieś może 40 metrów od tej ścieżki i nagle pies wyczuł mnie, a był na smyczy, zaczął się wrywać w moim kierunku. I Niemcy poszli za tym psem, idą, idą, a pies się wrywa i szczeka jak nie wiem co, i prosto na mnie. Myślę sobie, to koniec. Jak mnie złapią w tych krzakach, to albo na miejscu ubiją, albo wezmą do gestapo i będzie jeszcze gorzej. Myślę sobie, co tu robić? Ale siedzę. Fatalne uczucie. Bezbronny. Nie mam nic do załatwienia, nic. I Niemcy coraz bliżej, coraz bliżej, coraz bliżej, i w końcu, jak byli może 10 metrów ode mnie, to Niemiec powiedział coś tam po niemiecku, co ja zrozumiałem: „A głupi pies, pewno wyczuł zająca”. Pociągnęli psa i poszli dalej. No czyż to nie jest znowu ręka opatrzości? Naprawdę. Takie zdarzenie miałem dwa razy. Dwa razy było tak. Trzecie zdarzenie było równie paskudne. Przed... Był taki Kutschera, generał Kutschera, generał policji, który podpisywał egzekucję Polaków, po pięćdziesięciu, po stu Polaków, egzekucje uliczne. I on to podpisywał. Niemcy wykonywali to. I zapadł wyrok dowództwa Armii Krajowej, żeby go ubić, tego Kutschere. No ale przed tym... on był bardzo chroniony i trzeba było zrobić rozpoznanie, jak go ubić. On miał, nie wiem, czy biuro, czy dowództwo, było w Warszawie, na rynku Nowego Miasta wtedy. I trzeba było dokładnie poznać trasę, którą on zajeżdżał, o której wychodził, o której przychodził. Ja byłem wtedy... Najpierw byłem w tych grupach szturmowych w plutonie „Alek”. Z plutonu „Alek” przeniesiony zostałem w ramach awansu do specjalnej drużyny samochodowej, której dowódcą był Wiesiek Krajewski, pseudonim „Sem” albo „Miki”. Wspaniały chłopak, szalenie bojowy. On brał udział we wszystkich akcjach, gdzie broń była dowożona samochodem, ale on nie tylko dowoził broń, ale później z bronią szedł i brał udział we wszystkich akcjach. Fantastyczny facet. Było nas sześć osób w tej drużynie. Ja, delegowany przez dowództwo AK do szkoły samochodowej, skończyłem zawodową szkołę samochodową, dostałem zawodowe prawo jazdy, jak miałem szesnaście lat. Ale dowód osobisty miałem na dziewiętnaście. Oczywiście lewy. Jako... Już nie pamiętam, jak. Wacław Mikulski chyba. W każdym razie miałem zawodowe prawo jazdy i byłem razem z „Semem”

w tej drużynie. I mieliśmy dwa samochody, jeden czarny zupełnie, wyglądał jak niemiecki, na niemieckich numerach, właśnie do rozpoznawania, a drugi, taka półfurgonetka do wożenia broni i amunicji. I pojechaliśmy w cztery osoby tym samochodem niemieckim, czterech młodych chłopaków, Wiesiek miał tak naprawdę o trzy lata więcej niż ja, a może o cztery, nie wiem, i jeszcze dwóch kolegów. Siedzieliśmy w tym samochodzie na rynku Nowego Miasta, zaparkowanym, siedzimy w cztery osoby i czekamy, aż wyjdzie ten Kutschera. Siedzimy, siedzimy i to wzbudziło podejrzenie szkopów. I nagle obok nas stanęła tak zwana „wanna”, to był samochód taki odkryty, półciężarowy, z dwunastoma żandarmami, na ławkach siedzieli po obu stronach, a w środku był ciężki karabin maszynowy na stojaku. Więc oni zajechali obok nas, wycelowali ten karabin maszynowy w nas... Oni byli w takiej odległości jak tutaj kamera. Wszyscy wycelowali PM-y w nas i siedzą. I my też siedzimy. I sytuacja parszywa, po prostu parszywa. Bo jak nas wylegitymują, to nie mieliśmy żadnej legitymacji, która by pozwalała na siedzenie tutaj przed komendą garnizonu. To mówimy, no to koniec. A Wiesiek mówi: „Panowie, spokojnie. Uśmiechamy się”. I myśmy sobie spokojniutko tam... Patrzymy z uśmiechem na tych Niemców, którzy ciągle celują w nas. Ale oni się nie ruszają. I proszę sobie wyobrazić, że tak było z pięć minut. Te minuty nam się wydawały, że to w ogóle wieki całe. Oni celują w nas, a my sobie gadamy. I znowu cud boski. Zwinęli się i wyjechali, pojechali sobie. Nie legitymując nas. To po prostu nieprawdopodobne. Ale tak było. Ja do tej pory pamiętam to uczucie. Po prostu nie to, że pamiętam, ja czuję, co ja czułem wtedy, jak siedziałem przed tym wycelowanym karabinem maszynowym. Ja po prostu czuję to w zębach w ogóle i w czaszce. Okropne uczucie. Okropne. Na początku 1943 roku robiłem tak zwane bombki dywersyjne. Ja to nazywałem „bombki”. To był spreparowany przeze mnie materiał wybuchowy, bardzo czuły. Ja wsypywałem to do kawałka kabla, z jednej strony gwóźdź, z drugiej strony zapalnik, w środku ten... Jak to się rzucało, to wybuchowało. Przy dotknięciu to wybuchowało. I ja robiłem to w domu, i rzucaliśmy to przed posterunki niemieckie, z procy strzelaliśmy. W ten sposób, jak warta była niemiecka, to pod nogi mu tam. To krzywdy nie robiło, ale huk był duży. I człowiek łapał za broń, wrzeszczał, wołał alarm, a nas to bardzo bawiło. I rzucaliśmy też... Bo były kina organizowane przez Niemców dla Polaków, gdzie wyświetlali propagandowe filmy niemieckie. I przyzwoity Polak nie chodził do tych kin. I było powiedzenie: „Tylko świnie siedzą w kinie”. No to myśmy... Jeszcze w Szarych Szeregach tośmy robili takie akcje smarowania takim świństwem foteli w tych kinach, że ludzie się przylepiali czy paskudzili czymś, a ja strzelałem tymi bombkami w wychodzących ludzi. Znowu żadnych... Bo nawet jeżeli uderzyło w kogoś, to wybuchowało, ale nie robiło żadnej krzywdy, tylko wielki huk był i strach. Tylko niestety pewnego dnia, robiąc to, zaniechałem pewnych środków ostrożności i kilkanaście takich bombek wybuchło mi w rękę. I ja w związku z tym mam kompletnie... Zostały skóra i kości. Długo leżałem w szpitalu. Miałem trzy operacje plastyczne. Młody lekarz chciał obciąć rękę w ogóle, dłoń, powiedział, że nic z tego nie będzie, ale wspaniały profesor Manteuffel powiedział: „Dobra, spróbujemy to zrekonstruować” no i w ciągu pół roku doszło do tego, że ja trzema palcami jako tako ruszam.

Anna T. Pietraszek: W którym to było roku?

Jacek Karpiński: To było na wiosnę 1943 roku.